

SPOŁECZEŃSTWO

—≡ TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY. ≡—

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADEŚLANE na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3—5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Błędne cienie, przez L.
Postać posągowa, przez Henryka Lukreca (dokończenie).
Bernard Shaw. Wycinki z gazet (odcinek).
Na tematy dnia, przez W. W.
Szkice miejskie, przez Leona Choromańskiego.

Krytyka i sprawozdanie: Luźne kartki I. Impresjonizm przez Czesława Poznańskiego.
Gawędy, przez Marchoła.
W sprawie nauczycieli ludowych h (list), przez J. Kaczorowski.
Z Cesarstwa, przez Joten.
Kronika.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

Błędne cienie.

Arystokracja i duchowieństwo poznańskie w imię rozsądnego patriotyzmu wzięło udział w uroczystościach zamkowych. Wielkopolska ma zatem dwudziestu trzech mężów, obdarzonych tak osobliwym rozsądkiem, że ich zniewolił dziś już do schronienia się pod opiekuńcze złote skrzydło orla cesarskiego, wzniesionego na szczycie rezydencji poznańskiej. Nie chcą dziś słyszeć o popołym „frazesie o godności narodowej“, kierować się natomiast pragną wskazaniem praktycznego rozumu. Wskazania te polegają na tem, że nieobecność w dniu poświęcenia rezydencji cesarskiej ściągnąć może na Polaków nielaskę monarchy, który przecież „w Prusach wszystko zrobi co zechce“, i że brak habitów i kontuszów szlacheckich na zamku może być wyzyskany przez czarną hakatę niemiecką. Oto są względy najważniejsze, które kierowali się mężowie, hołdujący przedewszystkiem rozsądnemu patriotyzmowi. Istotnie, kierując się takimi względami, trzeba wzgardzić nie tylko frazesami o „godności narodowej“, lecz również napomnieniami o „godności osobistej“, której pogodzić, rzecz naturalna, z takim rozsądkiem nie można. Skoro więc jest już faktem po raz drugi, że wyniosłość czola jest rzeczą podrzędną w oczach księży Jażdżewskich, trzeba dać pokój frazesom uczuciowym i zająć się rozumowaniem, mającem na celu przy pomocy najbardziej prymitywnych sofizmatów uzasadnić postępowanie mężów Wielkopolskich, pozbawionych czola—czyli beczelnych.

Jak zwykle tak i tym razem ugodowe „Słowo“ warszawskie usprawiedliwia postępowanie polityków po-

znańskich, choć pod adresem przeciwników przesyła skromne napomnienie, że sądzić i decydować o postanowieniach mogą ci, „co są na miejscu, znają położenie i okoliczności“.

Pomimo tych słów jednak, które poniekąd odbierają prawo sądu o postępowaniu dwudziestu trzech mężów—„Słowo“ dyplomatykuje w imieniu gości zamkowych: „zaproszeni na uroczystość Polacy zapewne mają poczucie, że obarczyliby się ciężką odpowiedzialnością wobec całej ludności polskiej, która przedewszystkiem potrzebuje swobody ruchów, a jej niema, gdyby ominęli sposobność, która daje choćby cień nadziei, że w stosunkach może zająć zmiana na lepsze“. Istotnie. Trzeba być realistami w polityce, by pędzić odwiecznie na bezdrożach w pogoni za złudnemi światłkami łaski dworu niemieckiego. Trzeba jednak ponadto uwolnić się od wszelkiej odpowiedzialności wobec społeczeństwa, zbagatelizować dumne wysiłki ludu poznańskiego, wreszcie zrzucić z siebie wszelkie obowiązki, wypływające z godności mandatarjuszów imienia polskiego, — by móżdż jak ci mężowie piąć się w nieszlachetnym wyścigu pod mury zamku, będącego symbolem tryumfu hakaty niemieckiej. A czyni się to dlatego jedynie by nie ominąć „cienia nadziei że w stosunkach może zająć zmiana na lepsze“. Oto jakie jest wyznanie wiary politycznej mężów realistycznych warszawskich i poznańskich. W perspektywie swej pracy społecznej widzą jedynie błędne cienie, które należy chwycić przy każdej sposobności. Obarczyliby się „ciężką odpowiedzialnością“ gdyby ominęli cień łaski monarszej, mogącej spłynąć na kraj po głosowaniu nad powiększeniem królewskiej listy cywilnej, nie spełniliby obowiązku wobec „całej ludności polskiej“,

gdyby nie sięgnęli po światełko nadziei, błyszczące na zamku przemocy junkierskiej. Smutna rzeczywistość! Rozbitki realizmu bronią się przeciw naturalnemu i zabójczemu wnioskowi, że biorąc udział w uroczystościach poznańskich, tem samem, choć mimowoli, sankcjonują cele, usymbolizowane w rezydencji cesarskiej, że bądź co bądź poświęcony w ich obecności zamek jest jednocześnie uświęceniem systemu rządowego, wzniesionego i utrwalanego przez sejm pruski. Właśnie, gdyby sankcjonowali te cele, „toby do zamku nie poszli, bo to już dałoby zupełną pewność, że rządy te niezmiennie dalej trwać będą“. Trudno istotnie pomyśleć, by ugodowcy polscy, pomimo wszystko, świadomie godzili się na system rządów pruskich, lecz nie o to nam idzie, chodzi natomiast o rzecz bardziej podstawową, świadczącą o pustce programowej realizmu i beznadziejności ich środków w walce o ich własny feudalizm oświecony. Nie mają po za sobą ześrodkowanych sił społecznych, które decydują np. o godności polityki robotniczej, nie są przed nikim odpowiedzialni, pogardzą frazesem o godności narodowej, dla względów „rozsądnego patriotyzmu“, będącym w życiu najbardziej płaskim i wyrafinowanym przystosowywaniem się do woli silniejszego, co w swoim następstwie zmusza „dwudziestu trzech mężów“ do udawania się przy lada sposobności w pogoń za błędnymi ognikami czyjejs laski—wrogiej, faktami stwierdzonej już niejednokrotnie.

L.

Postać posagowa.

(dokończenie).

Po rozbrojeniu armii polskiej przez władze pruskie,—powstańcy, którzy pomimo amnestji cesarza Mikołaja do kraju wrócić nie chcieli, pociągnęli długim szeregiem na odległą emigrację. Przechodząc przez kraje niemieckie—witani byli entuzjastycznie przez ludność wsi i miast, budzącą się do walki z despotami, jako bohaterowie Europy ludowej i zwiastuni wolności powszechnej, której symbolem pozostawała wówczas insurekcja polska. Ciągnęli ku granicy francuskiej, ożywieni nadzieją, że rychło wrócą tą samą drogą do Polski z pieśnią na ustach i w mundurze legjonów. Wyobrażenie o Francji, jako o kraju, połączonym w bojach wieloma węzłami z Polską, krzepiło ducha rozbitków i kazało wierzyć, że przyjęci zostaną z otwartymi ramionami, jako żołnierze przyszłych hufców polskich, które ponownie w imieniu Francji utworzą drogę wolności ludów. Lecz Francja orleańska, ów klasyczny przybytek mieszczaństwa, obdarzonego władzą przez rewolucję lipcową, bardziej dbała o względy gabinetów państw despotycznych, niż o zaufanie Europy ludowej,—żądna uciech i orgji w salonach i klubach paryskich, lecz nie wawrzynów na polach walki o wolność uciśnionych narodów — przyjąć musiała tułaczów polskich jako sojuszników swych nieprzyjaciół, wyrazicieli wiecznej idei powstańczej, których tolerowanie w kraju było na dalszą metę niebezpieczne.

Pełni wiary i złudzeń podążyli emigranci do „nowej ojczyzny.“ W Paryżu zgromadzili się ci wszyscy wychodźcy, którzy oparli się pokusie powrotu do kraju na mocy amnestji i przetrwali prześladowania władz pruskich i austriackich. Oni to, powziąwszy postanowienie powrotu do Polski nie inaczej, niż z bronią w ręku — tworzyli

elitę tułaczą. Wśród nich znalazły się tedy jednostki dzielniejsze, reprezentujące przytem wyższe stopnie wojskowe, politykę, naukę i literaturę polską.

Wkrótce—bo już 6 listopada 1831 r. z inicjatywy ostatniego prezesa rządu—Bonawentury Niemojowskiego utworzono komitet, mający zawiązać stosunki z wychodźcami, rozszanemi niemal na przestrzeni całej Europy zachodniej. Do zebrania decydującego należeć mieli „ci wszyscy Polacy i cudzoziemcy, których komitet do składu powoła.“ Mochnacki, przewidując, iż Niemojowski liczy na to, że wszelkie władze, tworzone na emigracji, z tego komitetu mają wziąć początek — przeparł uchwałę, nadającą organizacji tej jedynie miano tymczasowej. Tym sposobem powstał *Komitet Tymczasowy Emigracji Polskiej*. Tu jednak wzięły początek walki emigracyjne, dzielące wychodźców na liczne obozy, rzekomo odzwierciadlające stronnictwa i kierunki krajowe, będące jednak w gruncie rzeczy ugrupowaniem tułaczów, powaśnionych nie tyle wskutek odmienności poglądów, ile z pobudek drobnych—prywaty, uprzedzeń, zawiści, spotęgowanych w warunkach niepowodzeń i nędzy, w atmosferze rozgoryczenia i upadku ducha. Mochnacki, prowadząc walkę przeciw partii Niemojowskiego, oddaje swe pióro na usługi przedsięwzięć niewielkich, które jednak wówczas wydawały się emigracji dalszym ciągiem sprawy krajowej, i które podniecały umysły tembardziej, że uważano swoje tułactwo po Europie za przejściowe i krótkotrwałe. Mochnacki, poddając w paru broszurach bezwzględnej i ognistej krytyce niedołęstwo partii kaliskiej za czasów jej panowania na schyłku insurekcji i niefortunne zarządzenia, poczynione już na emigracji w imieniu komitetu tymczasowego, podważał przewodnictwo Niemojowskiego, przyczyniając się jednocześnie w sposób bezpośredni do utworzenia nowej organizacji wychodźców pod nazwą *Komitetu Narodowego Polskiego*. Nieporozumienia, jątrzące emigrację, wywołują wkrótce rozdzwęki wewnątrz organizacji i sprowadzają rozłam, którego konsekwencją staje się założenie *Towarzystwa Demokratycznego Polskiego*. W tem ostatniem przesileniu Mochnacki nie brał już udziału. Zrażony jalością rozpraw, odsunięty od wpływów na bieg spraw emigracyjnych i nie widząc perspektywy w działaniach wychodźców, pozbawionych sił ześrodkowanych i poparcia rządu porzuca zgiełkliwy, powaśniony Paryż i przenosi się na prowincję, do Metz.

Tu powstaje w głównych zarysach dzieło Mochnackiego p. n. „*Powstanie Narodu Polskiego*“, które wkrótce miało się stać na emigracji, „wypadkiem epokowym, sensacją na długie lata“. Pomimo wrażenia, jakie praca Mochnackiego wywarła—robotą nieprzyjaciół, ścigających jego cześć, na chwilę nie ustawała. Oszczerstwa, rzucone przez referendarza stanu Hubego, który ongi przewodniczył w rozpoznawaniu aktów karmelickich, znajdowały chętny oddźwięk we wrogich Mochnackiemu obozach. Domysł Hubego, wyrażony drukiem, że prześladowania w klasztorze mogły być pozorne i wynikać z planu, ukartowanego z góry, co kazało przypuszczać, że dawniejszy więzień karmelicki nie tylko był, lecz że pozostaje nadal w stosunkach z tajną policją rosyjską, — ugodził dotkliwie Mochnackiego. Ugodził wówczas, kiedy ten wielki twórca polityczny miał prawo powiedzieć, iż pierwszy rzucił hasła, które dopiero po upadku powstania uznano za zbawcze, i kiedy mógł wskazać na bliźni i znak wirtuti militari, jako dowody, że zadanie, wpajane przezeń z mównicy i w druku, spełnił przedewszystkiem sam, lecz nie spełnili do końca współcześni mu surowi oskarżyciele w kraju i na tułaczce. Zarzuty i podejrzenia, poddające w wątpliwość czystość czci i uczciwość Mochnackiego, łączyły się później z zarzutem zdrady światopoglądu rewolucyjnego. Mąż opatrznoscio- wy z okresu upadku insurekcji przeistacza się w marzeniach Mochnackiego na emigracji w spiżową po-

stać „drugiego Kościuszki z głową Kromwela”, który mógłby opętać i ujarzmić rozhukaną anarchję, będącą tragedją powstania listopadowego i powodem ostatecznej klęski narodowej. W dziedzinę więc swego rozumowania o umiejętności robienia insurekcji wprowadza Mochnacki nowe pojęcie „nakazu, idącego z góry.” Wypowiedzenie zasady absolutyzmu powstańczego mniej więcej w tym czasie, kiedy nastąpiło pozorne zbliżenie Mochnackiego do partji arystokratycznej— (co uznane zostało jako zaprzeczenie się ks. Czartoryskiemu) — wpłynęło na zupełne osamotnienie autora *Powstania Narodu Polskiego*.

Ostatnie dni Mochnackiego równie ponuro upływały, jak i całe jego życie. Wrzawa emigracji, wroga tej największej indywidualności politycznej w Polsce nie tylko swego czasu, lecz i całego wieku XIX, nie przycichała nawet w obliczu śmierci. U kresu życia, niemal nad mogiłą, b. więźnia karmelickiego postawiono pod pręgierz opinji, pisząc, że „człowiek opluty i wyrzucony za drzwi przez wszystkie stronnictwa, odarty ze czci moralnie i politycznie, śmie urągać polskiej emigracji, że błądzi, on! uczeń Szaniawskiego... moskiewski cenzor, niegdyś rzeźnik, a teraz wielbiciel arystokracji”... Brutalne te słowa, rzucone Mochnackiemu na łożo śmierci brzmią zwykłym dysonansem w całym życiu tego człowieka.

Przerósłszy swoją epokę w czasie nieszczęść własnych i narodowych—Mochnacki popelił największy błąd, skazujący go na pokutę w kagańcu opinji współczesnych, ukutym z zawiści za wielkość indywidualną i mściwości za grzech dziecięcy. Brzęk łańcucha oszczerstw i szkalowania, wlokącego się przez cały ciąg żywota tej postaci posągowej, urwał się dopiero na krawędzi grobu Mochnackiego, przywalonego później olbrzymiem popiersiem z brązu, będącem wyrazem holdu i „wdzięczności rodaków”.

Henryk Lukrec.



Bernard Shaw.

Wycinki z gazet.

4) (ciąg dalszy).

Mitchener. Proszę nie zwracać na to uwagi. Podobne sceny odgrywają się teraz codziennie, od czasu gdy mamy powszechną powinność wojskową. Proszę, niech panie zechcą usiąść.

Lady Corinthia i *Pani Crack* (wstają) Dziękuję. (Siadają).

Mitchener (siada z uśmiechem zadowolenia). A teraz, czem mogę paniom służyć?

Pani Crack. Przyszliśmy, aby powiedzieć panu bez ogródek, że antysufrażystki występują do walki.

Mitchener (z galanterją). O, proszę, pozostawcie to panie mężczyznom.

Lady Corinthia. Nie możemy dłużej wam ufać.

Pani Crack. Nie okazaliście ani siły, ani odwagi, ani zdecydowania, koniecznych do zwalczania takich kobiet jak sufrażystki.

Lady Corinthia. Natura przemawia w was silniej niż chęć do walki.

Pani Crack. Zapasy fizyczne między osobami różnej płci są niestosowane.

Lady Corinthia. Demoralizujące.

Pani Crack. Nieszczere.

Na tematy dnia.

Wewnętrzna polityka rządu stoi dziś — między innymi — pod znakiem wzmagającego się wciąż prądu w kierunku ponownego rozproszkowania społeczeństwa na składowe jego drobiny.

Osiągnięte przepisy tymczasowe z 17 marca 1906 r. wcześniej utraciły faktyczną swą zastosowalność, aniżeli zdążyły się przyoblec w kształty prawa ostatecznego.

Niezatwierdzenie stowarzyszeń nowych, rozwiązywanie nielicznej już garści pozostałych — oto, co jest dziś zjawiskiem codziennym nawet, gdy idzie o takie towarzystwa, jak opieki nad zabytkami historycznymi.

Główna uwaga likwidatorów ruchu związkowego skierowana jest w dalszym ciągu na te robotnicze organizacje zawodowe, które przetrwały do chwili obecnej bądź wskutek niedopatrzania ze strony władz miejscowych, bądź też dlatego, że w niczem nie przejawiały działalności swej nazewnątrz.

Jedną z pobudek do zamykania związków zawodowych było przekonanie, że one to prowadzą do starć między pracą a kapitałem. Życie wykazało zgoła co innego, z czego zresztą nie należy wysnuwać, wniosku, że fakty oczywiście zmieniają taktykę wobec stowarzyszeń Kół kierujących.

Gdy istniały jeszcze liczne i silne organizacje zawodowe, w r. 1907 było 3573 strejków z 740,000 uczestników, a w 1908 stanęło 176,000 robotników do 892 strejków. W r. z., gdy związki, według wyrażenia „Riechi”, stały się już w znacznej mierze mitem, wybuchło w całym państwie tylko 340 nieporozumień między kapitałem a pracą, w których wzięły udział zaledwie 64,000 robotników, ale gdy tamte strejki były prawie wyłącznie obronnemi, sprowokowanemi przez pracodawców, te — po raz pierwszy od przełamania się fali rewolucyjnej — nosiły piętno zaczepne. Tem samym odznacza się i obecny, względnie bardzo szeroki ruch

Lady Corinthia. Są to tylko zamaskowane uściski.

Pani Crack. Podejrzanie to upada, jeżeli przeciwnicy są jednej i tej samej płci.

Lady Corinthia. Antysufrażystki postanowiły wyruszyć w pole.

Pani Crack. Chcą wykonać rozkaz generała Sandstone i usunąć wszystkie kobiety w promieniu dwóch mil, to znaczy wszystkie, za wyjątkiem ich samych.

Mitchener. Zmuszony jestem z żalem donieść pani, że rząd porzucił ten plan i że generał Sandstone podał się z tego powodu do dymisji.

Pani Crack. To jest zupełnie wszystko jedno. My popieramy ten plan i zajmiemy się jego wykonaniem. Wydałyśmy znaczną sumę na uzbrojenie i nie zgodzimy się na to, aby nasze pieniądze były wyrzucone w błoto z powodu trwożliwości gabinetu, składającego się z mężczyzn.

Mitchener. Uzbroiliście się panie? Ależ na zasadzie ostatniego postanowienia rządu zabrania się surowo kobietom nosić łańcuchy, kłódki, traktaty o wolności i broń wszelkiego gatunku.

Lady Corinthia (wydobywa rewolwer z rękojeścią z kości słoniowej i celuje nim w nos Mitchenera). Jak mało znasz pan swoje współobywatelki, generale.

Mitchener (bez zmrużenia powiek). Łaskawa pani, stosując się do rozporządzenia, jestem obowiązany odebrać pani tę broń. Zechce pani być tak dobra i odłożyć ją tutaj.

strejkowy, który u nas ogarnia głównie Warszawę i okręg łódzki, a w Rosji—t. zw. okręg środkowy.

Nie związki zawodowe zatem, które przeważnie grają w strajkach jedynie organizatorską rolę, pchają proletarijat fabryczny do walki zaczepnej z kapitałem, ale polepszenie się od roku zeszłego konjunktury rynkowej jest tem, co znów pozwala robotnikom walczyć o polepszenie bytu ekonomicznego.

Narówni ze związkami zawodowymi, popadły w niełaskę sfer miarodajnych stowarzyszenia „inorodców” w myśl znanego okólnika, polecającego rozciągnąć baczny dozór nad działalnością związkową na „kresach.”

Stowarzyszenia polskie, litewskie, łotewskie, ukraińskie, żydowskie—tak dobrze o charakterze kulturalnym, jak i czysto ekonomicznym — ulegają co chwila ostracyzmowi.

Najświeższym przejawem tej polityki jest zamknięcie Stowarzyszenia lekarzy w Warszawie za nie dość jakoby ściśle przestrzeganie przepisów językowych, a także zamknięcie Tow. rolniczego włodawskiego oraz całego szeregu kółek rolniczych w tej części Królestwa, która niedługo już znajdzie się poza granicami, zakreślonymi przez *act final* kongresu wiedeńskiego.

Uprzedzając niezawodne uchwały ciał prawodawczych, władze miejscowe dziś uważają wyłączenie Chełmszczyzny za rzecz dokonaną i stosują w obrębie przyszłej gubernji, gdzie podobno nie będzie dozwolone zakładanie stowarzyszeń o charakterze polskim, środki wyjątkowe.

„Gazeta Warszawska”, której kierownicy w latach 1905 i 1906 dobrze chcieli się zasłużyć zapanowaniu reakcji w państwie rosyjskiem, rozpacza pocziwie żale nad jej dzisiejszym rozwojem.

Poządany i „zdrowy”, dopóki walczył z ruchem socjalistycznym, z chwilą, gdy po zdławieniu proletariatu kładzie kres istnieniu tego, co Demokracja Narodowa pragnęłaby utrzymać przy życiu, obecny system rządowy musi wysłuchiwać gorzkich wymówek i nauk mądrości stanu od p. Dmowskiego.

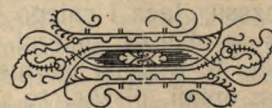
Organ b. prezesa dotąd wierzy w możliwość

reakcji „ograniczonej” i że na tej można zdobyć cokolwiek—przekonywaniem.

„System polityczny—pisze „Gazeta Warszawska”, którego jednym z wyrazów jest zamknięcie Tow. rolniczego włodawskiego ma nawet z punktu widzenia tych, którzy go stosują, tę wady, że celu zamierzonego nie osiąga, godzi natomiast w żywotne interesy ludności, podkopując jej dobrobyt materialny i równowagę moralną.”

Niestety, tam nie wiele sobie robią z mądrości politycznej, której chce nauczać dziennik wielkiego maga endecji.

W. W.



Szkice miejskie.

Przedmieścia.

Przedmieścia rozsiadły się jak liszaje. Rojące się mnóstwo dzieci zalega chodniki, środek ulicy, pstrzy się koło domów — dzieci bladych, wesołych, kołyszących się na krzywych nóżkach, z odętymi brzuchami, z oczyma, w których biegają iskierki lub o oczach mętnych, idjotycznych, jakby zabielenych kredą. Płaczą się, pełzają, płasają, grają na trąbkach. Spędzone ze środka ulicy — pochmurnej, zadymionej, kurzącej kołami rzadkiej dorożki lub ciężkiego wozu, zrywają się jak stado szarych ptaków, pędzą na wyścigi koło ponurych parkanów, gdzie melancholijnie powiewają kolorowe strzępki zdartych ogłoszeń czy ostrzeżeń policyjnych, wydają okrzyki krzykliwej uciechy, przewracają się, tarzają w kurzu i piachu. Na schodkach, koło wązkich trotuarów porzysiadły się kobiety — otyłe, rozdęte jak banie, z potwornie

Pani Crack (wydobywa olbrzymi pistolet z XVIII wieku). Czy masz pan obowiązek odebrać i tę broń?

Mitchener. To nie jest broń, tylko zabytek historyczny. Byłbym pani bardzo wdzięczny, gdybyś zechciała oddać go do muzeum zamiast celować we mnie.

Pani Crack. Ten pistolet miała babka moja pod Waterloo.

Mitchener. A raczej dziadek pani.

Pani Crack. Przypuszczenie pańskie jest bezpodstawne.

Lady Corinthia. Babka pani Crack brała udział w tej słynnej bitwie jako markietanka.

Pani Crack. Kto był moim dziadkiem — jest to punkt niewyjaśniony. Ja poległam nie na moich przodkach, lecz na mieczu, który ma n w domu.

Mitchener. Na mieczu?

Pani Crack. Tak, na mieczu, którym pod Kassasin własnoręcznie zabiłam pięciu egipcjan, służąc jako prosty żołnierz.

Mitchener. Boże wielki! I nie wykryto płci pani?

Pani Crack. Nawet nic nie podejrzewano. Miałam koleżkę, oficera, którego nazywano Fanny. Mnie nie nazywano Fanny.

Lady Corinthia. Sufrażystki sprowadziły sprawę kobiecą na niewłaściwe tory, żądając prawa wyborczego.

Pani Crack. Cóż za sens ma prawo wyborcze? to jest dobre dla mężczyzny.

Lady Corinthia. Mężczyźni są niewolnikami ze swem prawem wyborczem.

Pani Crack. Czego potrzeba kobietom, to prawa do służby wojskowej. Daj mi pan konny oddział kobiet z szabłami i każ mi pan walczyć z oddziałem mężczyzn, uzbrojonych w prawo wyborcze, zobaczymy, kto będzie przed kim uciekał. Mamy już dosyć tych łagodnych, ładnych stworzeń, które tylko gadają, wędrują jak owce do więzienia, cierpią i robią z siebie ofiarę. Krew i żelazo musi rozstrzygnąć tę sprawę, jak powiedział Bismarck, który zresztą — jak mam powody przypuszczać — był przebraną kobietą.

Mitchener. Bismarck kobietą?

Pani Crack. Wszyscy wielcy mężowie byli przebranymi kobietami.

Mitchener. Ależ, łaskawa pani!..

Pani Crack. Jak pan możesz zaprzeczać temu? Wszak nie wiedziałeś pan nigdy, że bohaterem bitwy pod Kassasin była kobieta: a jednak ja nim byłam. Myślisz pan, że Napoleon mógłby być być tak brutalny w stosunku do kobiet, gdyby był mężczyzną?

Mitchener. No, no! co pani mówi! Wszyscy panujący rodzaju żeńskiego wykazali wady czysto kobiece. Naprzykład, królowa Elżbieta: miłość własną, niestałość.

Pani Crack. Kto studjował historję Elżbiety, nie może wątpić, że była ona tylko przebrany mężczyzną.

obwisłymi piersiami albo przeraźliwie chude, wymokłe, anemiczne, z wy piekami powolnej gruźlicy na twarzy, ze smutnymi śladami wędnącej zbyt wczesnie piękności — paplą, plotkują, kłócą się zajadle. Dziewczynki bose do kolan, z warkoczami jak ogonki kociaków — dziewczynki na pół dojrzałe — małeńkie madonny lub miniaturowe rażące hetery ze lśnieniem przedwczesnej dojrzałości w oczach domyślnych i figlarnych, droczą się z chłopcami, skaczą jak pasikoniki, śpiewają małeńkie arje z modnych niegdyś operetek. Z otwartych okien leci zapach wiórów, doku czliwy stuk maszyny krawieckiej, gwarny szczebiot więziennego kanarka. Roje muszek napastniczych krążą i lśnią w rozpażonym powietrzu. Trąbki dziecinne wciąż grają. Ciągną szeregi pogrzebów ku miastu umarłych, gdzie nieboszczycy sztywnie wyciągnięci śpią pod strażą kłamliwych napisów — ponuro i wolno ciągną orszaki żałobne przez rojowisko dnia dzisiejszego, które pełni się z zajadłą wytrwałością i wylewa na pokurzone bruki przedmieścia coraz to nowe i nowe zastępy poszukiwaczy fortuny.

Miasto w nocy.

Bramy zamknięte. Ludzie, oddani w dzień twardej pracy, lub prowadzący życie higieniczne, kładą się właśnie do łóżek. Emerycy, jarosze, dziewice, systematycy, gotowi głowę oddać za to, że od regularnego udawania się na spoczynek zależy ich rumieniec, spokój żołądka i szczęście ludzkości, zdejmują z siebie szaty. Kokietki mizdrzą się jeszcze przed zwierciadłem, gdy zaczyna huczeć życie nocne wielkiego miasta.

Ample latarni elektrycznych dobrze oświetlają drogę tym, którzy chcą odurzyć zmysły gwarem muzyki kawiarnianej, czadem i błyskotem kabaretowym, pędem samochodu. Tysiące pożądań zerwało się ze sfory mozołu i rozbiegło się skomlać po zaułkach. Tysiące chciwych oczu przywarło ssawkami do lubieżnej piękności kobiecej, dopóki ona nie stanie się łachmanem i nie utonie w kanale szpitalnym. Zawodowcy wszelakiego rodzaju oraz liczne hufce inteli-

gencji z pod niewiadomego znaku spieszą wziąć udział w błyskotliwym sabacie dnia dzisiejszego, zachłysnąć się trunkiem upajających sofizmatów, rzucić kilka przekleństw w kierunku wieku współczesnego, wspomnieć o tak innych a szczęśliwych stuleciach odrodzenia, albo uczuć ciepłą dumę na myśl, że jednak telegraf bez drutu, aeroplan i być może, Hata 606 to zdobycz *nasza*. Mózg nasz pracuje potężnie i z szybkością ekspresu pędzimy do nowego odrodzenia! To miasto przekuwa człowieka! Miasto stwarza nową kobietę, mówiącą z tak litośnym szyderstwem o kobiecie z dworu modrzewiowego! Rodzą się nowe zalety na miejsce wygasłych... Zmienia się styl i gest, a koncha uszna coraz dobitniej słyszy łoskot kół rydwana życia, miażdżącego słabych!

Podczas gdy uwięziony w mieście marzyciel poi się rozpostartą nad ulicami sferą ciszy i gwiazdzystego nieba, przebłyskami księżycy, wędrującego nad duchami i uśmiechającego się złudną obietnicą, zebrani w licznych klubach i resursach mężowie poważnie, w myślącym skupieniu walczą przy zielonych stolikach... Banknoty szeleszczą, złoto dzwoni... A na ulicach nędza wynosi na sprzedaż nocną kwiaty, niewybredne łakocie, papierosy, gazety... Jakiś człowiek produkuje sztucznego węża, którego ciało wygina się i skręca. Inny chce spieniężyć żywego jeża! A i sprzedaż żywego ciała kwitnie w najlepsze! Dwaj chłopcy dziesięcioletni przykucnęli w bramie kamienicy. Drzemią, trzymając w ręku pęk kwiatów. Budzi ich charakterystyczny łoskot kół na gumach... Pędzą, wskakują na stopnie powozu, gdzie rozwalona nierządnicą wyciąga rękę po róże...

Garsoni zakładów nocnych oczekują jeszcze z żelazną wytrwałością na suty napiwek, gdy ciemności uliczne już bledną. Ulica cichnie... Ostatnie kobiety z nagiemi łokciami pełne szelestu spódnicy i alkoholowego podniecenia wyskakują z dorożek i giną w bramach. Zaczyna się bezładny powrót maruderów nocnych, pełnych opłakanego znurzenia i podziwu, że *znowu* tę noc spędzili bezsennie. Zjawia się tajemniczy szary człowiek z drążkiem i gasi niepotrzebne już latarnie...

A gdy świt zabłyśnie, porusza się kupa łachma-

Lady Corinthia (podziwiając panią Crack). Czyż ona nie jest nadzwyczajna!

Pani Crack (wstaje). Dziś jeszcze zrzucę te suknie, dosiądę konia i powiodę antysufrażystki do zwycięstwa. (Przechodzi sapiąc na drugą stronę sceny).

Mitchener. Ależ, łaskawa pani, nie mogę dopuścić nic podobnego. Jestem stanowczo zdecydowany przeprowadzić moją wolę.

Lady Corinthia. Tylko bez hysterji, generale.

Pani Crack. Sądziś pan, że pańskie dziecinne wybuchy zdolają nas powstrzymać? Są one zgoła bezcelowe. Nie pomogą też panu łzy i prośby—ta ostatnia ucieczka mężczyzny. Drwię sobie z nich zarówno jak z pańskich planów wojennych „made in Germany”...

Mitchener. (wpada w wściekłość). Nie waż się pani powtarzać tego haniebnego oszczerstwa! (dzwoni) Gdybym miał wybierać między panią i jej podobnymi, a sufrażystkami, uczyniłbym wszystko, aby dać każdej kobiecie sześć głosów. (Ordynans wchodzi) Proszę usunąć stąd tę kobietę. Postaraj się o to, aby natychmiast opuściła ministerjum. (Ordynans spogląda bezradnie na panią Crack).

Ordynans. (pojednawczo). Czy nie zechciałaby pani być tak uprzejmą i wyjść stąd?

Pani Crack. Jesteś żołnierzem. Wykonaj rozkaz. Wyprowadź mnie. Gdybym ja otrzymała taki rozkaz, nie wahałabym się ani chwili.

Ordynans (do Mitchenera). Czy nie pomógłby mi pan, panie dyrektorze?

Lady Corinthia (podnosząc rewolwer). Jeżeli ruszysz się pan z miejsca, generale, będę musiała strzelać.

Pani Crack (do Ordynansa). Gdy każą ci wyrzucić kogoś, powinienes to uczynić ot tak, (Wyrzuca go z pokoju. Słychać, jak leci z hałasem ze schodów i uderza w szklane drzwi). Teraz oczekuję generała Sandstone. Jeżeli okaże słabość, podzieli los tego biedaka. (Wychodzi).

Lady Corinthia. Czy ona nie jest nadzwyczajna?

Mitchener. Dzięki Bogu, że już jej niema. Czy uważasz pani za konieczne trzymać mi przed nosem ten nabity rewolwer.

Lady Corinthia. On nie jest nabity, jest dosyć ciężki i bez kul.

Mitchener. (Wydobywa z tryumfem swój rewolwer z szuflady). Więc ja jestem panem sytuacji. Ten jest nabity!

Lady Corinthia. Wszak nie mamy zamiaru strzelać do siebie, więc czyż to nie wszystko jedno?

Mitchener (kładąc rewolwer na stole). Ma się rozumieć. Poznaję po tem zdrowy rozum, który uchronił panią od tego, aby nie wpaść w pułapkę sufrażystek.

Lady Corinthia. Sufrażystki, panie generale, małpują kobiety dawnych Franków. Prawdzie powabna i rosądna kobieta...

Mitchener. (z galanterją). Naprzykład, jak pani...

Lady Corinthia (porywając rewolwer generała). Jeszcze krok i jesteś pan trupem!

nów i z głębi wnętrza wstaje bezdomny. Jedno oko zdrowe, drugie zatkałe kawałkiem waty. Z upartą tępą, melancholją patrzy bezdomny jedyną mętną źrenicą w lśniącą blaskami poranku ulicę. Świt goreje w tysiącu okien, lecz żadne z nich nie jest jego... Tysiące pokojów stoją pustką, lecz wszystkie zamknięte!

Leon Choromański.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Luźne kartki.

I.

O impresjonizmie.

W oczach naszych odbywa się obecnie niezmiernie ciekawe powolne przewartościowywanie wartości artystycznych. Pomału, pomału zaczyna się przeprowadzać rewizję historii sztuki XIX wieku. Ostatni raz wyznaczono miejsca artystom i ustosunkowano ich wzajemnie za zwycięskich czasów impresjonizmu t. j. lat temu 20—15 i wtedy jedno tylko kryterjum było miarodajne: czy dany artysta przygotowywał sztukę Claude Moneta, Renoira, Pissarra, czy też nie.

Z tych czasów datuje kult Turnera, wielkiego prekursora, kult japońszczyzny—inspiratorki, cześć dla Delacroix, który przygotował teren dla impresjonistycznej sztuki. Oddano wtedy sprawiedliwość Corotowi, ale jedynie Corotowi pejzażyście ostatniej manier, gdy nawet włoskie krajobrazy kąpał w tej cudnej srebrnej mgle, typowej dla pejzażu Ile de France. A nawet historję malarstwa klasycznego starano się nagiąć do nowego punktu widzenia i szukano przodków w Janie Ver Meerze z Delftu, w Velazquezie.

Z tych czasów datuje pogarda dla Ludwika Davida, obojętność dla Ingesa i bezsensowny komunał, że był on rysownikiem jedynie, a nie kolorystą, chłodny szacunek dla Milleta, milczące pochowanie sztuki Courbeta.

A przede wszystkim największe może qui pro quo: ogłoszenie, że szkołę impresjonistów stanowią Manet, Monet, Degas, Renoir, Cézanne, Sisley, Pissarro i Raffaëlli i przekonanie, że to zgrupowanie artystów, których istotnie łączyło poszukiwanie świetności obrazu (choć kto pamięta Pijaka absyntu, Guitarrera, śmierć Cesarza Maksymiljana, ten przyzna że Manet często tym problemem gardził) ma stałą wartość historyczną.

Tymczasem jeżeli, odrzuciwszy te czysto formalistyczne pokrewieństwo, będziemy szukali istotnego, a za typ przyjmiemy dzieło artysty, w którego obrazach doktryny impresjonistyczne najczystszy znalazły wyraz, t. j. Claude Moneta, to odrazu spostrzeżemy że przy nim pozostaną jedynie: Raffaëlli, człowiek o miernym talencie, techniką jedynie różniący się od malarzy genre'owych połowy wieku XIX; Pissarro, który życie całe strawił na szukaniu zbawczej formułki matematycznej piękna, na starość nawet do neoimpresjonistów się zapisując, artysta wysoce kulturalny i subtelny, ale o niewielkiej twórczej potędze, i biedny Sisley, który rozpoczął tam, gdzie się zatrzymał Corot pierwszej manier i dawał przedziwnie miękkie intymne pejzaże, dopóki impresjonizm nie zabił jego indywidualności i nie zrobił z niego niewolnika techniki. Zostaną się także epigoni Guillaumin, Henry Moret, Maufra i kilku innych. Może historyk odniesie do tejże grupy i białe obrazy Berty Morizot i roześmiane dzieciaki Mary Cassatt. Może zresztą i Renoira uznać można za impresjonistę czystej obserwacji, chociaż jego potężny liryzm wybiega zbyt często po za formułkę notacji gry świetlnej, co Monetowi nie zdarza się nigdy.

Ale Degas odpadnie, i jego dzieło historyk będzie rozpatrywał w związku ze sztuką francuską XVIII wieku i z Ingresem; odpadnie Cézanne, pierwszy prymityw XIX wieku, obcy wszystkiemu, co czasy jego niosły, lecz zapładniający nasze pokolenie; odpadnie największy z nich wszystkich, obok Rodina najautentyczniejszy geniusz XIX wieku—Edward Manet.

Z Monetem łączy go jedynie technika niektórych obrazów, a więc rzecz zgoła drugorzędna, dzieli zaś wszystko inne. Monet jest okiem. Prawda, że okiem

Mitchener (zdumiony). Alez...

Lady Corinthia. Ani słowa! Nie jesteś pan pierwszym mężczyzną, uważającym mnie za ponętną zdobycz dla każdego rozpustnika, ponieważ lubię muzykę i wydobywam z łatwością wysokie F — Patti brała najwyżej niższe C. Myślisz pan, że jestem podobna do tysiąca tych słabych kobiet, które pan zrujnowałś...

Mitchener. Protestuję uroczyście...

Lady Corinthia. O, ja wiem, do czego wy, oficerzy, jesteście zdolni! Honor kobiety nie znaczy nic dla was—a chwilowe zadowolenie jest wszystkim.

Mitchener. To śmieszne. Jeszcze nigdy w życiu nie zrujnowałem żadnej kobiety.

Lady Corinthia. Nigdy? Czy mówisz pan to na serjo?

Mitchener. Naturalnie, że mówię na serjo, i to z najwyższym oburzeniem.

Lady Corinthia (rzucając pogardliwie rewolwer). A zatem nie masz pan temperamentu, nie jesteś artystą, nie odczuwasz pan muzyki.

Mitchener. Przez całe życie dawałem pieniądze na kapele wojskowe. Gdy w roku 1880 śpiewałem „pożegnanie” Tostiego w Knightsbridge, cały pułk płakał. Jesteś pani zbyt młoda, aby móżdżek to pamiętać.

Lady Corinthia. Pańskie komplementy chybiają celu. Ja...

Mitchener. Do diabła!.. Łaskawa pani, czy nie możesz pani wysłuchać paru słów uprzejmych, nie podejrzewając mnie o nieuczciwe zamiary.

Lady Corinthia. Miłość—prawdziwa miłość—czyni wszelkie zamiary uczciwymi. Ale tego nie mógłbyś pan nigdy zrozumieć.

Mitchener. Nie mogę ukorzyć się przed pospolitym poglądem groszowych książeczek, głoszących, że oficer jest mniej honorowy w swym stosunku do kobiet niż cywilista. Dopóki żyć będę, będę podnosił swój głos...

Lady Corinthia. Bahl! Alboż pan jesteś w stanie podnieść głos ponad zwykłą skalę! Jaki pan masz głos?

Mitchener. Tenor. A jaki głos miałaś pani?

Lady Corinthia. Miałam? Ja mam go jeszcze dziś. Powiadam panu, że mam najwyższy sopran, jaki istnieje. (Drwiąco). Jaki był najwyższy ton pana?

Mitchener. Raz jeden — niższe B — w roku 1879. Byłem wówczas pijany.

Lady Corinthia. (patrzając na niego prawie z czułością). Znajduję, że jesteś pan o wiele bardziej interesujący, gdy mówisz o muzyce, niż wtedy, gdy usiłujesz opętać kobietę, która dowodzi panu swego zaufania, pozostając z panem sam na sam w pańskim mieszkaniu.

Mitchener (zrywa się i uchodzi w kierunku kominaka). To nieustanne obrażanie człowieka nieposzlakowanego prowadzenia się jest również niegodne pani jak niezasłużone przezemnie. Podobne podejrzenia prowokują wprost zamiary, o które mnie pani oskarża. (Lady Corinthia podnosi rewolwer) proszę się nie obawiać — ja chcę tylko opuścić ten pokój.

czarodziejskiem, tak rejestrującem najsubtelniejszy odcień tonu, najlżejszą wibrację powietrza, jak najczulszy aparat optyczny, ale tylko okiem. Manet jest obok tego wspaniałym twórczym mózgiem. Jedynym właściwym tematem Moneta jest słońce i gra światła i cieni, dlatego też wycina on obraz zupełnie dowolnie, o kompozycję się nie troszcząc, i dlatego tam nawet, gdzie w grę wchodzi człowiek, nie postara się nigdy wydobyc ogólnej jego sylwety, ale będzie go traktował jako grupę barwnych plam, rzeczem nie usamodzielnioną od otoczenia. I nawet w portretach przeprowadza tę koncepcję. Manet tymczasem, gdy ma człowieka przed sobą, to przedewszystkiem wydobywa jego architekturę, mocno oddziela go od otoczenia i nie pozwala mu roztopić się w powietrzu. Jest takim w Śmierci Cesarza Maksymiljana, w Pijaku absyntu, w *Déjeuner sur l'herbe*, które równie wielkie jest w stylu, jak słynny *Giorgione Louvre'u*, w *Olimpij wreszcie*, w której by można odnaleźć bardzo niedawne analogie z odaliskami Ingresa. Jest takim nawet w tych cudnych pastelach z ostatnich lat twórczości, gdzie główki kobiece są z równą surowością komponowane, jak wielkie obrazy. Wogóle kompozycyjność, a więc nie *odtworzenie* lecz *przetwarzanie* natury,—oto cecha charakterystyczna dzieł Maneta, i dlatego określenie sztuki przez Zolę, który czysto impresjonistyczną sztukę świetnie i pełnie charakteryzuje, „un coin de nature vu à travers un tempérament“ do niego zastosowania mieć nie może.

Przecudnym przykładem tej świadomości twórczej sztuki jest portret Pertuiseta, „mordercy lwów”. W lesie, nie zwrotnikowym, lecz francuskim, o rzadkiem, symetrycznym zadrzewieniu, kłęczy Pertuiset, na czatach ze strzelbą w ręku. Nieliczne tylko plamy słońca grają po ziemi, cały interes obrazu jest w tej masywnej postaci mocno się od tła odcinającej, która i malarsko jest osią całego obrazu. A za Pertuisetem, jako motyw dekoracyjny potraktowany, choć niezmiernie wiernie odany, leży trup lwa, który psychologicznie znaczenie obrazu symbolizuje. I takie pojęcie portretu jest czysto klasycznym, bo nie inaczej postępował Tintoretto, gdy za admirałem otwierał okno z widokiem na morze, nie inaczej Valazquez, gdy

marszałka Olivarez pokazywał na koniu z buławą w rękę, i Tycjan, gdy Karolowi V kazał przejeżdżać przez plac boju pod Mühlbergiem. Są to portrety syntetyczne psychologicznie. A w parze z taką syntezą idzie i synteza już czysto malarska. Determinuje obraz jego architektura, nie pozwalająca drugoplanowym motywom rozpanoszyć się na korzyść pierwszoplanowych, i wielki artysta nie zawaha się nigdy tam, gdzie potrzeba poświęcić szczegół dla całości, refleks lokalny dla ogólnego tonu, ciekawe zerwanie linii dla ogólnego konturu. I tak pojęty obraz będzie nawet prawdziwszym od tego, co dokładnie wszystko odtworzył, bo odda *jedność* przedmiotu, to, co stanowi jego istotną indywidualność, podczas kiedy wszelki „impresjonizm” oddać może tylko przejściowy, zmienny stan.

Okrutnie się to odbija na portretach i na wielkich kompozycjach mistrzów impresjonizmu, gdzie refleks lokalny, plama na przedmiocie, wywołana grą słońca, oddane są z nieubłaganą wiernością, ale nigdzie oko znaleźć nie może punktu ciężkości, ni osi obrazu i, podziwiając szczegóły, nie jest w stanie zdać sobie sprawy z całości. Są to obrazy, podziwiałbym wprost, amorficznie. Najtypowszymi przykładami są może Zebranie publiczne Raffaëllego, gdzie mówca Clémenceau jest identycznie traktowany, jak każdy z tłumu słuchaczy, dzięki czemu obraz cały jest czarnym chaosem, i barwny *Moulin de la Galette* Renoira.

To zresztą może jest powodem, dla czego typem impresjonistycznej sztuki jest pejzaż. Wycinek bowiem natury, nawet dowolny, ale skąpany w świetle, barwnie przepiękny jest w stanie zadowolić oko prawie w zupełności. I wprost upajającymi jak mocne wino są niektóre Monetowskie obrazy, zmysłowa rozkosz przez nie dostarczana dochodzi do szalonej intensywności. Inną, szlachetniejszą jest koncepcja pejzażu klasycznego, koncepcja Poussina i Claude Lorraina, do których dziś po naukę wracamy, a których tradycję podtrzymywali ludzie, jak Hubert Robert i Corot pierwszej epoki, ale i z pomiędzy obrazów impresjonistów tych kilkanaście płócien godnie za czas swój będzie świadczyło. I na uboczu, tuż koło szkoły Barbizońskiej wyznaczy historyk czasów naszych niepo-

Lady Corinthia. Ryba!

Mitchener. Cóż to znowu ma znaczyć?

Lady Corinthia. Tak, ryba, zimnokrwista ryba..

Mitchener. Do pioruna! Czy chcesz pani, abym czynił próby zbliżenia?

Lady Corinthia. Nie mam najlżejszego zamiaru zachęcać pana do czegokolwiek — ale gdybyś pan coś uczynił, byłoby to haraczem, uiszczonym romantyce. Bo czem jest życie bez romantyki?

Mitchener (zbliżając się do niej). Ależ powiadam pani...

Lady Corinthia. Nie zbliżaj się pan do mnie. Tylko bez pospolitej zmysłowości! Jeżeli musisz mnie uwielbiać, uwielbiaj w oddaleniu.

Mitchener. Ma pani mój rewolwer. Bądź pani tak uprzejmą i strzel mi w łeb. Przenoszę to nad dalsze uśiłowania, aby dotrzymać kroku chorągiewce ducha pani. Jeżeli nie zgodzi się pani na to, oświadczam, że nie wydobędzie pani ze mnie ani jednego słowa, chociażbyśmy mieli siedzieć tutaj do sądu ostatecznego.

Lady Corinthia. Nie trzeba wcale, abyś pan mówił, masz pan tylko słuchać. Pan nie rozumiesz mojego poglądu na sprawę prawa wyborczego dla kobiet. (Podnosi się z zamiarem wygłoszenia mowy). Jestem jedną z tych kobiet, które przywykły rządzić światem przez mężczyznę. Mężczyzną rządzi się przez piękno i przez wdzięk. Mężczyźni, którzy temu nie podlegają, sami nie mają wpływu. Prawo Salickie, za-

kazujące kobiecie zasiadanie na tronie, opierało się na zasadzie, że gdy kobieta siedzi na tronie, kraj jest rządzony przez mężczyznę, a zatem jest rządzony źle; gdy mężczyzna siedzi na tronie, kraj jest rządzony przez kobiety, a zatem jest dobrze. Suffrażystki chciałyby obniżyć stanowisko kobiet, czyniąc z panujących wyborczynie, polityczki, niewolnice komitetów i lokalów wyborczych. Utraciłybyśmy zupełnie nasz wpływ, gdyby doszło do tego. W Nowej Zelandji mają prawo wyborcze. Jaki jest rezultat? Żaden poeta nie weźmie Nowozelandki na bohaterkę poematu. Przypatrz się pan samemu suffrażystkom. Lubiane są tylko ładne, a te flirtują z gminem zupełnie tak samo jak zwykle kobiety flirtują z oficerami.

Mitchener. Teraz rozumiem. Pani jest zdania, że krajem powinny rządzić kobiety.

Lady Corinthia. Nie wszystkie kobiety, tylko niektóre. Powiedziałabym niemal: jedna kobieta, kobieta, która ma wdzięk i skłonności artystyczne, która wywiera na mężczyznę uszlachetniający a zatem jedynie usprawiedliwiony wpływ. (Siada z miłym uśmiechem, poprawiając suknię).

Mitchener. Sądzi pani zatem, że dając mężczyźnie prawo wyborcze, daje się tem samem władzę kobiecie, która potrafi go opanować.

(dok. nast.)

ślednie miejsce impresjonistom, ale złudzeniem było ich marzenie, że sztukę zrewolucjonizują i że historia ich walk i ich zwycięstwa będzie osią historii XIX wieku. Już dzisiaj, za życia Claude Moneta i Renoira, powiedzieć to możemy, i ci nawet, którzy byli heroldami impresjonistów, Oktawiusz Mirbeau, Feliks Fénéon sami to przyznają.

Historja sztuki XIX wieku jest historją tych, co wierni byli świadomie, czy bezwiednie francuskiej tradycji, kontynuatorów wielkiej francuskiej szkoły klasycznej. Imiona ich, (do których powrócić będą miał jeszcze sposobność) Ludwik David, Jan Dominik Ingres, Corot, Honorjusz Daumier, Gustaw Courbet, Edgar Degas, Edward Manet i Cézanne.

Czesław Poznański.

Gawędy.

Letnie nastroje doprowadzają ludzi do egoizmu bez granic. Wiadomość o pożarze wystawy w Brukselli była przyjęta przez „stałych czytelników” ze wszystkich ulic bodaj że z radością. Tak ludzie są spragnieni sensacji. Niby pisało się o tem i owem w pismach codziennych: był i zamek w Poznaniu i ruch antyklerykalny w Hiszpanji. Ale to wszystko—to nie to. Trzeba było wiadomości takich, w których po tytule czyta się koniec, po końcu środek, po środku wyławia na chybił-trafił ustępy sensacyjniejsze, resztę się opuszcza — i wrażeń jest moc, choć wszystkiego się nie przeczytało.

Ogień, który przynosi nam tyle wrażeń — i na domiar szczęścia z tak daleka — jest mocen uczynić z nas czcicieli ognia, kiedy po Baudelaire'ze, Ruskinie i Wilde'zie przyjdzie u nas moda na mistycyzm buduarowy.

Bieda tylko wielka, że z pożarem Wystawy w Brukselli łączy się mała przykrość, której może lud nasz nie odczuje, ale która dotknie niedoszłych podróżnych do stolicy Belgji. Tyle sobie obiecywali, tak ciekawi byli widzieć wystawę Wszechświatową. Ileż to tam rzeczy było do widzenia: zgiełk, zabawa, restauracje, tingle, murzyni z Congo, muzyka wojskowa i cywilna, zwierzęta dzikie i oswojone, czasem balon lub aeroplan nawet... Są oczywiście i nudne rzeczy, obchodzące kupców, techników i przemysłowców. Te jednak można opuścić i na słowo wierzyć, że taka wystawa to etap, panie, w rozwoju ekonomicznym świata. Na szczęście dla zwiedzających wystawę tłumów publiczności, te nudne rzeczy, które są podobno właściwą treścią wystaw wszechświatowych, zajmują niewiele miejsca i nie detonują zbyt ogólnego nastroju jarmarcznego.

I czy źle się dzieje? Przemysł idzie sobie z techniką pod rękę, a nauka niesie za niemi wielki parasol. Ludzie nie pchają się im pod nogi i drogi nie tamują—ba, uciekają nawet przed niemi. Wiedzą dobrze, że kiedy „przyjdzie do czego”, zdobycze przemysłu i techniki same trafią do nich.

Idzie sobie przemysł z techniką pod rękę en bon menage, idzie powoli, czasem prędeż, czasem kichnie które, i ludzie oglądają się, uśmiechają—i zapominają. Czasem przechodzień zagapi się niepotrzebnie na przemysł lub technikę, wtedy nauka, idąca za niemi, trzaśnie gapia parasolem w łeb, a ten ucieka, gdzie pieprz rośnie.

A sztuka? Ta spogląda z zazdrością na szczęśliwe małżeństwo, co swobodnie i z uśmiechem naprzód

daży. Otoczona rojem snobów, snobików i snobiątek, sama nie wie co robić w tłumie, który drogę jej zastępuje i swobodnie obejrzyć się nie daje. O najmniejszym jej ruchu każdy wiedzieć musi, każdy zdanie wygłasza, każdy krytykuje i nieszczęsnej nikt bronić nie chce czy nie umie. Niech w górę spojry — oburzenie, niech w bok skręci—zgrzyt, niech tunikę uniesie—zgroza! Pchana ze wszystkich stron, skręca nieraz tam, gdzie ją tłum przypadkowo lub—co gorzej — rozmyślnie kieruje—i w rezultacie traci głowę lub skrzydła.

Dlaczego Apollo nie pożyczka od papy Zeusa paru błyskawic z grzmotami, aby wygrzmocić nieznośnych snobów po plecach?

Widzę, że wpadam w mitologję, wracam przeto pośpiesznie z Olimpu po schodach marmurowych na dół i zatrzymując się na jednym ze środkowych pięt (na poziomie Warszawy), głoszę, że wartoby zastosować do sztuki coś nie coś z obyczajów przemysłu i techniki. Wartoby mianowicie na wystawie Sztuk, a więc w Salonach, Teatrach i Salach koncertowych urządzać atrakcje, jaknajwięcej atrakcji: strzelnic, zwierzyńców, kolowrotków—ot zupełnie jak na przemysłowo-technicznych wystawach Wszechświatowych. Ludzie bawiliby się *naprawdę*, sztuka żyłaby swoim życiem — i w miarę potrzeby swojej, chęci swoich i możności swojej dawałaby ludziom co trzeba—i więcej.

W miarę potrzeby, chęci i zwłaszcza możności—tak przychodzą do nas wszystkie zdobycze. Ot, nikt nic nie wiedział, nie myślał i nie przeczuwał, a przywędrowała do nas zdobycz nauki—i już nie tej nauki, która z parasolem za przemysłem i techniką chodzi, ale tej dużo groźniejszej, co sama po wyżynach kroczy i spekuluje, retortami i cierpliwością ludzi odstrasza. Mówię o kabalistycznie ochrzczonej wynalazku D-ra Ehrlicha, dzięki któremu tysiącom nieszczęśliwych odrastać niemal będą piękne nosy przydługie i zadarte.

Wynalazek D-ra Ehrlicha przyszedł do nas, kiedy dojrzał, przyszedł w formie gotowej do poznania i do zastosowania. Wielkie zainteresowanie jest w tym wypadku zrozumiałe i pożądane. Nie dziw, że wszyscy mówią o tej zbawiennej — podobno — metodzie leczniczej i ciekawi szczegółów niewątpliwie interesujących proszą o jaknajwięcej wyjaśnień kompetentnych i przystępnych.

Gdy na całym świecie wyjaśnień podobnych nie szczędzono ciekawym, w Warszawie bieda się z niemi zrobiła. Jeden z lekarzy podał publiczności garść szczegółów przystępnych i interesujących o sensacyjnym 606, gdy oto część ciała lekarskiego najniespodziewaniej w świecie wystąpiła przeciwko nieszczęsnemu popularyzatorowi i skarciła go, nie szczędząc ostrych przymiotników. I okazało się, że na przymiotniki nie ma sposobu, nawet w epoce, kiedy na przymiot sposób już znaleziono! Odtąd informuje się nas, którzy recept pisać nie umiemy, w sposób bezimienny, aby nie narażać się na gniew naszych poważnych uzdrowicieli. Gniewu lekarzy nie zmniejszy to, ale wiadomo, że wyrok zaoczny—choćby najokrutniejszy—mniej jest szkodliwy niż zwykłe oddanie pod sąd — choćby tylko honorowy.

Pięknie jest, że lekarze warszawscy rządzą się tak surową etyką, że tak wysoko cenią naukę i wyżej jeszcze siebie samych. Bądź co bądź przyznać należy, że ten pogląd na etykę jest nieco za bardzo fachowo-korporacyjny. My od lekarzy mniej wymagamy i nam wystarczyłoby, gdyby ich etyka lekarska zabroniła im tylko zabijania bliźnich leczeniem nieopatrznie i opartem na niedostatecznym przygotowaniu. Wątpliwe jest, czy da nam ten spokój nadmierna wrażliwość medyków na popularyzację—kiedy jest ona pożądana choćby tylko dla pozorów. Aparat czarnej magji mało wpłynie na uspokojenie nasze w tym

względzie. Natura ludzka jest tak dziwna, że skoro człowiek oddaje się w ręce rycerzy lancetu i chloroformu i za jedyną obronę ma termometr pod pachą, wolałby mniej więcej wiedzieć, co się z nim dzieć będzie i mniej więcej rozumieć istotę manipulacji łączących z zapachem karbolu zapaszek mistycyzmu i tajemniczości, wydzielających się obficie z recepty o formie ogona komety.

W gruncie rzeczy lekarze sami szkodzą sobie w ten sposób. Widząc ich, zasuujących na oczy — czy trzeba czy nie trzeba — śpiczasty kołpak Abrakadabrusa, nie wiemy czego się trzymać. Nie wiemy już, czy 606 jest rzeczywiście *passé-partout* na wszelką nieopatrzność młodzieńczą, czy też można powiedzieć o tej dziwnej liczbie, parafrazując starą zagadkę warszawską, i idąc za szampańskim doktorem Doyen'em: na początku — sześć, na końcu sześć, a w *środku* — *treść!*

Tracę, tak tracę zaufanie do kabalistycznej liczby Dr. Ehrlicha i bodaj że nie chcę wcale zapoznać się z nią bliżej. I jacy dziwni są ci posiadacze wielkich sekretów praktyki medycznej: przecież tłumacząc mi zasadę nowej metody leczniczej, mają prawie pewność, że ich nie zrozumie (jak to się zwykle dzieje z popularyzacją), a miałbym taką szczerą satysfakcję!.. I tej mi żałują.

Ci, którzy rozżalenie moje podzielają, dowiedzą się z radością, że (jak donoszą ostatnie telegramy własne — wzór własności kolektywnej!) wystawa w Brukselli odbudowuje się. Nie dość na tem. Okazy przemysłu, handlu i techniki spaliły się i pamięć po nich została tylko na pocztówkach dostępnych dla każdego, a odbudowują się kołowrotki, kawiarnie, kinematografy i tarasy, na których grać będzie muzyka wojskowa i cywilna. Jedźmy więc tam. Przy dźwiękach muzyki wojskowej i cywilnej zapomnimy snadnie o zawodach, co nas spotykają, gdy już raz decydujemy się wgłębić w tajniki otwierające się i zamykające przed nami niewiadomo jak, niewiadomo kiedy i niewiadomo dlaczego.

Marcho!t.

W sprawie nauczycieli ludowych.)*

Coraz częściej słyszeć się dają uwagi pod adresem nauczycieli ludowych. Niektóre z tych uwag są sprawiedliwe i rzucane z dobrym celem, ale większą ich część stanowią niczem nieuzasadnione napaści.

Najwięcej napadają na nauczycieli ludowych ludzie zamożni: obywatele ziemscy i miejscy, obrośnięci w piórka prowincjonalni doktorzy i adwokaci, pisarze gminni i t. p. jednostki przestarzałych przeważnie pojęć. Przyczyny zaś do tego są różne: wybory do Dumy, na sędziego, wójta, albo, jak to miało miejsce w 1906 roku, przymilanie się chłopom w obawie wywłaszczenia, lub też wyrobienie sobie dobrej marki dla tem łatwiejszego potem eksploataowania naiwnych.

Czasem trafia się, że taki pan obywatel ot... znuździ się bezczynnością — i dalej „pracować dla społeczeństwa” (teraz to takie modne). Prace owe rozpoczyna od „krytyki”, czyli od rzucania oszczerstw na innych. To tak łatwo.

Rozumie się, że przy takiej robocie trzeba być ostrożnym, nie można rzucić się na jakąś jednostkę zamożniejszą, przytem może jeszcze energiczną; mogłaby wynikać nieprzyjemność — wybiera się więc jednostki słabe, źle uposażone, a przez to zgnębione, nie-

zdolne do walki. Takimi jednostkami w obecnej dobie są nauczyciele wiejscy. Przedstawiają oni sobą te pochyle drzewa, na które każda koza, chcąc się sprezentować, włazi, a ponieważ drzewa te i tak nie mogą sobie dać rady, będąc przyciśnięte nędznymi warunkami bytu, więc kozy wskakują jedna po drugiej, jak zwykle kozy, i przyginają je jeszcze więcej.

Niejaki p. Kosowski, obywatel i sędzia wyjechał na arenę publiczną z artykułem**) w którym nauczycieli wiejskich (podobno nie wszystkich) uznał za pasorzytów społecznych i, rozumie się, chce przekonać społeczeństwo, że nauczyciele wiejscy to nie tylko zbyteczny, ale i szkodliwy balast społeczny, ponieważ „biorą pensję za cały rok, a pracują tylko siedem miesięcy”.

Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że tak jest, ale porównajmy to „pasorzytnictwo” nauczycieli z pracą, dajmy na to, sędziów gminnych. Biorę w danym wypadku tylko sędziów dlatego, że taką funkcję spełnia właśnie p. Kosowski, krytyk naszej moralności.

Za godzinę wykładów we wszystkich zakładach naukowych prywatnych płacą już najmniej 30 kop. Otóż biorę tę już najmniejszą zapłatę dla nauczyciela na wsi. Ponieważ w szkole wiejskiej wykładowych godzin dziennie jest 6, a więc dzienna pensja nauczyciela wynosiłaby 1 r. 80 k. W każdym miesiącu odchodzi 4 dni niedzielnych i dwa dni na święta i galówki, a więc ścisły miesiąc wykładowy stanowi 24 dni, za które wypadałoby 43 r. 20 k. We wszystkich szkołach prowadzonych przyzwoiciej, oprócz nauczycieli jest jeszcze tak zwany gospodarz, którego obowiązkiem jest czuwać nad porządkiem w klasie w czasie pauz, przed przyjsciem uczniów i w czasie ich wychodzenia i nad porządkiem lokalu. Jest także specjalny pan, który gimnastykuje uczniów, albo też urządza z niemi różne zabawy. Otóż gdyby nauczyciel na wsi, który spełnia obydwie te funkcje, dostał chociaż 15 rubli za to, to by wyniosło 58 r. 20 k. Dodajmy do tego 10 rubli na stróża i na opał na 10 korcy węgla (po dwa pudy dziennie) rb. 14. Trzeba dodać, że budynki szkolne oprócz tego, że są tandetą budowlaną, stoją jeszcze jak sieroty same, wystawione ze wszystkich stron na wiatry i dlatego potrzeba daleko więcej opału aniżeli w mieście.

Oprócz tego nauczyciel musi korespondować z władzami: kancelarją gminną, powiatem, inspektorem objazdowym, dyrekcją naukową, zapisywać uczniów, informować ich rodziców co do podręczników i szkolnego regulaminu (do czego w zakładach naukowych są specjaliści pisarze) i, co jest bardzo mozolnem, poprawiać co wieczór stopy kajetów.

Otóż gdyby tak za te wszystkie „dodatkowe” prace wziął nauczyciel także i dodatkowe pieniądze, a już przynajmniej za poprawianie kajetów, na które zużywa najmniej dwie godziny dziennie, wziął swoje 60 kop., toby mu wypadło na miesiąc rb. 18.

Zsumowawszy wszystko, otrzymujemy sumę rb. 100 kop. 20, jako normę wynagrodzenia miesięcznego, co wyniesie przez 7 miesięcy 701 rb. 40 k. Przeciętna zaś pensja roczna nauczyciela na wsi wynosi dzisiaj rb. 300.

A więc nie nauczyciel społeczeństwo, lecz społeczeństwo nauczyciela wyzyskuje, krzywdząc go o 400 rb.; nie mówiąc już o budynkach szkolnych, którym, w porównaniu z przyzwoitemi oborami lub stajniami dworskimi, brak bardzo wiele.

A teraz rozpatrzmy pracę sędziów gminnych i ich pensje. Posiedzeń sądowych, t. j. dni w które

**) W „Zaraniu”. W tem samym piśmie odpowiedział jeden z nauczycieli, ale w formie tłumaczenia się, i to właśnie popchnęło mnie do napisania niniejszego listu.

*) Otrzymujemy list poniższy z prośbą o wydrukowanie.

odbywają się sprawy, jest zwykle jedno w tygodniu, oprócz 2-ch tygodni w żniwa, kiedy posiedzenia z powodu gorączkowej pracy przy sprężeniu są zawieszane; a zatem 50 na rok. Policzmy teraz panu sędziemu nie 1 r. 80 k. jak nauczycielowi, ale dla równego rachunku po 2 ruble, to wypadnie całej pensji 100 rubli rocznie. A ile biorą panowie sędziowie?.. Biorą 750 rb.—1000 rb. rocznie. Przytem sędzia gminny nie potrzebuje tak jak nauczyciel, żadnych specjalnych kwalifikacji. Wybierają chłopci takiego zwykle, co ma dla nich więcej uroku: jest okazalszym (pełnej tuszy), bogatszym, lub wyżej głowę nosi i już. Często wchodzi tu w grę agitacja, jak i na wójta, rozumie się w sposób mniej uchwytny. W mojej okolicy kandydatami na sędziego gminnego było dwóch obywateli, wójt i młynarz... O mało nie wybrali młynarza.

Trafia się bardzo często, że pan sędzia nie ma czasu, wtenczas zastępuje go jeden z ławników, nie mający w większości wypadków nawet elementarnego wykształcenia, i sędzi nieraz z taką werwą i pewnością siebie, że, będąc parę razy w sądzie i nie znając jego składu, trudno rozróżnić, kto jest sędzią, a kto ławnikiem. Jest to dla sędziego wielka wygoda: na posiedzenia nie przyjeżdża, a pensję jednak bierze, ma tytuł, uważanie, szacunek. Oprócz tego sędzia nie potrzebuje sobie zbyt łamać głowy nad manipulacją sądowną, od tego jest sekretarz, on wszystko załatwia, często-gęsto i sprawę osądzi, rozumie się nie oficjalnie, sędzia zaś potrzebny jest więcej jako firma. Oprócz sekretarza jest jeszcze pomocnik, a do usługi stróż. A więc sędzia gminny ma do pomocy: 2-ch ławników, 1-go zastępcę, sekretarza, jego pomocnika i stróża, czyli—6 osób. Każdy z owych pomocników ma swoją specjalną pensję. Najwięcej pracy i odpowiedzialności za porządek ma sekretarz sądu (przed prezesem), najmniej ławnicy, a po ławnikach—sędzia.

Sędziami gminnymi są zazwyczaj obywatele ziemscy, posiadający średnio 30 włók ziemi, i pensja sędziowska jest dla nich tylko niewiele znaczącym dodatkiem (brać którego jakoś się nie krępują) do dochodów z tak obszernego majątku, z którego miałyby przyzwoite utrzymanie 30-tu gospodarzy; czyli że jeden taki pan spożywa za 30-ci średniozamożnych jednostek.

Czyż tego nie możnaby nazwać prędzej pasorzytstwem?..

A teraz przyjrzyjmy się, jak toby wyszedł pan sędzia, gdyby mu płacono tak jak nauczycielowi i jak by wyszedł nauczyciel, gdyby mu płacono tak, jak płać sędziemu.

Otóż gdyby sędziemu płacono podług taksy, jaka jest przyjęta dla pracy nauczycielskiej, to wypadłoby mu za dzień pracy 1 rb. 78½ k., a za cały rok—89 rb. 25 k.

Gdyby zaś nauczycielowi płacono podług taksy, jaka jest przyjęta dla pracy p.p. sędziów, to wypadłoby mu za dzień pracy 15 rubli, a za 7 dwudziesto-czterodniowych miesięcy, czyli za 168 dni 2.520 rubli.

Oj, szanowaliby go wtenczas panowie sędziowie! Jużby wtenczas nie był pasorzytem.

J. Kaczorowski
naucz. lud.

Z Cesarstwa.

Dr. Dubrowin zebrał cały polemiczny materiał ogłoszony w „Rus. Znam.” w ostatnich czasach a skie-

rowany przeciwko nowej głównej radzie Z. N. R., obstał u związkowca N. Kriwskiego wielki artykuł „zamiast wstępu” i wydał to wszystko w książce pod tytułem: „Dokąd faworyci (wremienszczyki) prowadzą związek narodu rosyjskiego”. Artykuł p. Kriwskiego, zatytułowany „Zgnilizna w Z. N. R.” daje w swoim „dubrowińskim” oświeceniu historję Z. N. R. Pierwszy etap to wyzwolenie Rosji z pod jarzma rewolucjonistów skrajnych, drugi etap to ujarzmienie rosyjskiej inteligencji—etap trzeci po 16 czerwca 1907 r. to upadek Z. N. R., zdrada starej taktyki i programu. A wszystko to, jak się okazuje, dla pieniędzy. Bo Dubrowin od Wostorgowa otrzymuje 20.000 rub. wzamian za to, że w myśl wskazań z góry usunął się od rzeczywistego przewodniczenia w Związku i zadowolili się tytułem prezesa honorowego. Dalej Związek miał zapewnione miesięczne subsydjum. Członkowie Związku, którzy zostali wybrani do Dumy otrzymali różne „ulgi w sprawach osobistych”. P. Kriwski w swoim ferworze nie oszczędza nikogo, nawet i swoich popleczników i protektorów. P. Dubrowin wszystkie te rzeczy ogłasza. A publicystyka rosyjska, choć uprzednio nakłada rękawiczki i respiratory, korzysta z tych wszystkich danych, by w należytem świetle pokazać Z. N. R.

Celem rozpowszechniania wśród młodzieży rosyjskiej języków szwedzkiego i fińskiego rada ministrów upoważniła p. ministra oświaty a) do wprowadzenia nauki tych języków w niektórych szkołach, przyczem uczniowie mogą być zwalniani z nauki języka francuskiego i niemieckiego; b) do udzielania stypendjów osobom, które celująco opanowały te języki i c) do wysyłania studentów na rachunek skarbu do Finlandji i Szwecji.

W radzie ministrów przyjazd prezesa p. Stołypina nie zmienił wakacyjnego nastroju. Dotychczas powrót premjera do Petersburga wywoływał gorączkową pracę przygotowawczą do kampanji dumskiej. Teraz nawet budżet—wobec zapewnień p. Kokowcewa o powiązaniu końca z końcem—nie interesuje członków Rady.

Wystawa pod nazwą „Urządzenie szkół” r. 1911. Komisja stała przy Cesarzkiem rosyjskim Towarzystwie technicznym opracowała już szczegółowy program międzynarodowej wystawy oświatowo-technicznej pod powyższą nazwą. Wystawa podzieloną będzie na 6 działów. Dział I. Budownictwo szkolne. Dział II. Urządzenie wewnętrzne szkół. Dział III i IV. Materjały, tyczące się podręczników szkolnych połączonych i urządzeń szkolnych pomocniczych. Mają to być dwa najpoważniejsze działy wystawy, w które wejdą kolekcje przyrodnicze, urządzenia gabinetów fizycznych, chemicznych, agronomicznych i t. d. Dział V. Urządzenia szkół rzemieślniczych i zawodowych, warsztatów i t. p. Dział VI. Gimnastyka i sport. Celem wystawy jest wyjaśnienie współczesnego stanu przemysłu, obsługującego zakłady naukowe. Na wystawie odbędą się prelekcje na tematy, stojące w związku z programem wystawy.

Dane statystyczne, tyczące się działalności komisji urzędzeń rolnych ogłoszone zostały za rok 1909. Cyfr jest w sprawozdaniu tym niewiele. Te, które są podane, mają zadziwiać swoją wielkością absolutną, choć nie było to celem ogłaszania tych danych, jednak nawet z nich wnioskować można o niesłownych rezultatach działalności komisji.

W roku 1909 o pomoc zwróciło się do komisji 711.533 właścicieli zagrod.

Ogółem od r. 1907 pomocy komisji zażądało 1.319.042 zagrod, przyczem 618.449 (mniej niż połowa)

deklarowała zmianę na dworki i parcele, zaś 700,598 zagród starało się o zniesienie szachownicy i komasacji.

Rok	Liczba pod-ń od zagród	Liczba zagrod przez komisję uregulowanych	%
1907	221.679	27.449	13
1908	385.810	94.087	25
1909	711.553	167.503	23

Tabela powyższa, już biorąc absolutnie wskazuje, że komisje pracują niedostatecznie. Remanent nieuregulowanych zagród na rok 1910 wyniósł 544.050 zagród! Jeżeli jednak w obliczenie wprowadzimy jeszcze jeden czynnik, a mianowicie:

Rok	Zagród uregul.	Powiększ. w %	Liczba urzędników	Powiększ. w %
1908	94.087		1,284	
1909	167.503	75	3.500	175

to dojdziemy do wniosku, że względnie intensywność działalności przedstawia się jeszcze gorzej. Robota, która przez zdobyte doświadczenie powinna była iść szybciej przy tej samej liczbie pracujących, wykonywała się wolniej przy zwiększonej liczbie pracowników.

Wyjaśnia sytuację ta okoliczność, iż skład osobisty działaczy w komisjach urzędów rolnych wiele pozostawia do życzenia. Wszystko to ludzie nie wspólnego z kwestją rolną nie mający. Kilka osób ukończyło instytut leśny lub agronomiczny—reszta—to naczelnicy ziemscy, sztab-rotmistrze rezerwy, mieszczanie i „zwykli szlachcice“ bez żadnych kwalifikacji.

J o t e n.

KRONIKA.

— Kary prasowe: Redakcja „Gazety Kujawskiej” skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 200 rb. kary za wydrukowanie artykułu w № 98 p. n. „W podziemiach.” Redakcja „Wiadomości Codziennych” skazana została również w drodze administracyjnej na zapłacenie 300 rb. grzywny za wydrukowanie notatki w kronice, № 154 p. t. „Magistrat stać na to.”

— B. wydawca i redaktor odpowiedzialny „Gońca Wileńskiego” p. Fr. Jurjewicz skazany przez Izbę Sądową na 6 miesięcy więzienia w sprawie prawowej—w tych dniach odzyskał wolność.

— Tygodnik satyryczno-humorystyczny „Perkunas” wychodzący w Wilnie pod redakcją p. Fr. Olechnowicza został zawieszony na mocy postanowienia wileńskiej Izby Sądowej do chwili rozstrzygnięcia sprawy. Numer pierwszy tego pisma został skonfiskowany za umieszczenie satyry p. n. „Archa niol się nie zgadza.”

— W bieżącym tygodniu odbywają się w Warszawie w dalszym ciągu liczne rewizje i aresztowania.

— Sąd wojenno-okręgowy warszawski rozpatrywał sprawę szeregowca 27 niżowskiego pułku, Georgila Lichomanowa, oskarżonego z art. 128 kod. karnego o obrazę Majestatu, oraz wygłaszanie zdań, wyrażających potępienie istniejącego ustroju państwowego. Oskarżony odbywając karę w bataljo-

nie dyscyplinarnym za czynne znieważenie podoficera—30 kwietnia zażądał rozmowy z oficerem, któremu stanowczo oznajmił, że służyć nadal nie chce i nie może, oraz wygłosił zdanie, zawierające obrazę Majestatu. Przywołany do naczelnika bataljonu dyscyplinarnego powtórzył to samo, podając jako przyczynę ciężkie koleje życia, jakie przebyć musiał w służbie wojskowej. Sąd skazał Lichomanowa na osiedlenie.

— Według danych urzędowych do dnia 14 lipca rb. w więzieniach znajdowało się 168.991 osób.

— Z ruchu robotniczego. W Warszawie rozpoczął się strejk szewców, wytwarzających dla hurtowników, którzy prowadzą rozległy handel wywozowy do Cesarstwa. Wobec znacznych zamówień, nadchodzących z Rosji—szewcy uznali chwilę bieżącą za odpowiednią do zdobycia lepszych warunków pracy. Kilka tysięcy robotników zażądało podwyżki na robocie szpilkowej damskiej i męskiej o 20 kop, na parze i na wywrotkach o 50 kop. na parze. Poza tem stawiają warunek unormowania dnia roboczego. Obecnie pracują od godz. 6 rano do 10—11 wieczorem, żądają normy pracy od 7 rano do 8 wieczór.

— Porzucili pracę rzemieślnicy, wyrabiający pudełka tekturowe. Strajk objął kilkanaście mniejszych warsztatów i dwie fabryki: 130 osób przy ulicy Obwodowej № 29 i 25 osób przy ul. Pawiej № 32. Żądają polepszenia warunków płacy i 9—10 godzinowego dnia roboczego.

— Przy budowie domu na ul. Leszno zastrajkowało 14 pomocników mularskich. Żądają podwyżki z 75 kop. na 80 kop. płacy dziennej.

P I S M A

Wacława Nałkowskiego.

Spoleczne: Jednostka i Ogół, szkice i krytyki psychospoleczne.

Sienkiewicziana.

Z powodu politycznych wystąpień p. Sienkiewicza.

Bojownik. Fantazja

Gieograficzne: Zarys geografji Rozumowej (gieologii).

Gieografja szkolna cz. I. Gieografja ogólna. cz. II Australja, Ameryka, Afryka, Azja cz. III Europa.

Gieografja Malownicza t. I Australja. II Ameryka Południowa. III Ameryka Północna. IV Afryka (w druku). V Azja (w druku). VI Europa (w przygotowaniu).

Zarys Metodyki Gieografji.

Ziemia i człowiek.

Szkice i studja gieograficzne.

Gieografja Poglądowa.

Gieografja Fizyczna.

Gieograficzny rzut oka na dawną Polskę.

Uwagi krytyczne do mapy poglądowej Królestwa Polskiego Jadwigi Wojcickiej.

Jezioro Lepelskie w systemacie Berezynskim.

Rozwój ziemi (Poradnik dla samouków).

Historja Ogólnej nauki o ziemi (Dzieje Myśli).

Ogólna nauka o ziemi (Encyklopedia ludowa w druku).

Mała Gieografja Fizyczna.

Wschodnia granica Europy.

Afganistan.

O gieograficznych błędach, na których opierają się historjofobiczne poglądy profesora Duchńskiego.

Książki powyższe są do nabycia w Administracji „SPOŁECZENSTWA” ul. Wielka № 1-a, telef. 97-83.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!

SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

HERBATA z gór Harcu

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez bepartament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.

UWAGA: Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JOZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 33a. Telefon 184-44.

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegaj się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

Od Administracji.

Ogłoszenia do

SPOŁECZEŃSTWA

przyjmuje się

w administracji ul. Wielka № 1-a telef. 97-83.

ul. Krucza „ 12 m. 15 „ 66-01.

ul. Długa „ 9 m. 18 „ 94-01.

Największe powagi lekarskie całego świata polecają
PASTYLKI

GÉRAUDEL'a

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie chrypkę, katar, kaszel oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

Cena pudełka 85 kop.

UWAGA. Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwoną etykietę z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo. „Fabian Klingsland. Warszawa”.

MACZKA
NESTLÉ
MLECZNA

Idealny pokarm ==
== **dla niemowląt**
oraz dla osób dorosłych — chorych
na żołądek.

WYSZŁO Z DRUKU DZIEŁO

J. WŁ. DAWIDA

„Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy”.

Z rysunkami w tekście i na Tablicy. Str. XVI + 591.

Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Cena rb. 3 kop. 50.

Obrazki do doświadczeń (rys. 11—18 i Tablica) nabywać można oddzielnie za kop. 50.